

Kolonializm made in England – 11

23 kwietnia 2018

Kim jest człowiek, który idzie do policji? Jest to osobnik, który – zgodnie ze swoim wyobrażeniem – jest niedoceniany w swoim otoczeniu i myśli, że przynależność do organizacji policyjnej robi z niego „kogoś”.

Imponują mu policyjne obowiązki, mundur, dyscyplina, autorytet, możliwość noszenia broni, odrobina władzy, poczucie bezpieczeństwa oraz podszyty strachem respekt innych ludzi.

Są to atrybuty powodujące, że pewien specyficzny rodzaj ludzi uważa pracę w policji za atrakcyjną. Policjant nie jest kształtowany przez swoich kolegów i charakter pracy, lecz przez zaspokajanie swoich głęboko zakorzenionych i często skrupulatnie ukrywanych nawet przed samym sobą kompleksów, potrzeb, pragnień i marzeń. Jest to prawidłowość, która występuje we wszystkich społeczeństwach na świecie i odgrywała wiodącą rolę w tworzeniu się sił policyjnych w kolonialnej Australii.

Tak zwana „tubylcza policja” została oficjalnie zorganizowana w 1848 roku zgodnie z kolonialnym pragmatyzmem, którego cel był prosty – użyć Aborygenów do wyniszczania Aborygenów. W ten sposób angielscy gubernatorzy załatwiali sprawę w „białych rękawiczkach” czarnymi rękami, nie pozwalając, aby jakikolwiek cień padł na ich nieposzlakowaną reputację zarówno w oczach ówczesnej białej społeczności Australii, w tym licznych misjonarzy różnych odłamów chrześcijaństwa, jak i angielskiego parlamentu i domu panującego. Okrucieństwo i bestialstwo masakr od tej pory przypisywano „dzikim” wymierzającym sprawiedliwość swoim pobratymcom zgodnie z surowym brytyjskim prawem. Oczywiście biali oficjalnie nie popierali okrucieństwa, a jeśli wystąpiło było zawsze przypisywane

barbarzyństwu „dzikich” policjantów.

Wynajmowanie Aborygenów przez białą policję było praktykowane o wiele wcześniej, były to jednak niezbyt częste przypadki i decyzję wynajmu podejmowano, gdy uciekł jakiś groźny zesłaniec i jego wytropienie wykraczało poza umiejętności białych policjantów. Aborygena wynajmowano tak jak stał, nagiego, uzbrojonego w kij lub bumerang, zaś jego zapłata bywała symboliczna w postaci tytoniu, jakiegoś starego ubrania i oczywiście piwa i rumu. Wykorzystywano tu zauważone niezwykle zdolności Aborygenów i ich niesamowitą swobodę poruszania się po buszu i to w takich miejscach, gdzie biały nie mógł zrobić nawet paru kroków.

Przed rekrutacją do tubylczej policji, Aborygeni rzadko zgadzali się na tropienie ludzi ze swojego plemienia, zaś w przypadku innych plemion albo porzucali tropienie po paru dniach twierdząc, że zgubili ślad, albo wyprowadzali oddział na fałszywe ścieżki, po czym na ogół uciekali przy pierwszej nadarzającej się okazji. Tego rodzaju przypadki szybko zostały właściwie zrozumiane i przygodnych tropicieli zastąpiono „zawodowcami”, czyli Aborygenami pochodzącymi z innych części Australii, którzy byli ubrani w mundury, zaopatrzeni w broń, konia i otrzymywali regularną zapłatę. Oraz mnóstwo alkoholu.

Trzeba przyznać, że chętnych było niewiele. Zastosowano więc znaną metodę uprawianą we wszystkich krajach na świecie, polegającą na darowywaniu kary za drobne przewinienia. Takich więźniów było zawsze pod dostatkiem, bo za zabicie owcy lub jakąś drobną kradzież ekspedycja karna rzadko kiedy łapała faktycznych sprawców. Na ogół napadano na obozowisko i zakuwano w łańcuchy pierwszych z brzegu mężczyzn, aby ich następnie na oczekaniu osądzić i odprowadzić do najbliższego więzienia. Więźniowie byli selekcjonowani i najbardziej obiecujący podlegali stopniowej indoktrynacji, pojeni byli rumem i piwem, częstowani tytoniem, dostawali dobre jedzenie itp. W kilka tygodni później tak urobionemu Aborygenowi dawano propozycję nie do odrzucenia. Albo następne kilka lat

spędzonych w celi lub za drutami, albo natychmiastowa wolność, mundur, karabin, pieniądze i władza.

Choć tubylcza policja została oficjalnie założona w 1848 roku, pierwsze próby robiono już we wczesnych latach trzydziestych XIX w. i później. Nie zawsze były to próby udane, bo rekrutowano miejscowych Aborygenów, którzy zorientowawszy się co mają faktycznie robić, uciekali porzucając broń i mundury. W niektórych przypadkach Aborygenów zatrudniano doraźnie, gdy tworzone grupę eksterminacyjną, a w okolicy było zbyt mało chętnych białych. W takich przypadkach mówiono im, że mają wytropić poszukiwaną grupę, a potem służyć za tłumaczy białemu dowódcy, który chciał z Aborygenami „porozmawiać” i wytłumaczyć im niewłaściwość ich zachowania. Oczywiście taka argumentacja miała krótkie nogi, bo do żadnej rozmowy nie dochodziło – biali zaczęli strzelać i gwałcić kobiety. Jeśli grupa białych przy okazji nie zastrzeliła „swoich” Aborygenów – co się zdarzało – uciekali oni przy najbliższej okazji.

Od 1848 roku władze kolonii pozyskały wystarczającą liczbę zdegenerowanych Aborygenów, aby utworzyć kilkanaście oddziałów konnych liczących po co najmniej 20 mężczyzn, w tym od 10 do 15 Aborygenów. Resztę oddziału stanowili byli zesłańcy oraz różne inne męty, którym się nie chciało pracować. Oddziały powstałe w Wiktorii i Nowej Południowej Walii wysyłano następnie do Queenslandu, Australii Zachodniej i Południowej, aby wykluczyć wszelkie powiązania plemienne pomiędzy nowo wykreowanymi policjantami a ludnością miejscową. Tego typu posunięcia znane są we wszystkich innych krajach do dnia dzisiejszego.

Czarni policjanci już po niedługim czasie wpadali w alkoholizm i inne nałogi oraz byli głównymi nosicielami syfilisu. Każda akcja przeciwko Aborygenom miała w programie gwałcenie kobiet i dziewcząt, co rozprzestrzeniało tę chorobę coraz dalej. Trudno się dziwić, że podpici degeneraci popisywali się przed swoimi białymi kolegami wyjątkowym okrucieństwem, licząc na różne atrakcyjne premie w postaci większej ilości rumu, piwa i

tytoniu.

Na jakiś czas kolonialne władze osiągnęły swój cel. Aborygeni byli likwidowani aborygeńskimi rękami i jeśli roznosiła się wieść o kompletnej pacyfikacji regionu w barbarzyński sposób, zawsze zwalano winę na czarnych policjantów. W raportach pisano, że biały oficer nie był w stanie powstrzymać furii czarnych funkcjonariuszy i w obawie o swoje życie nawet nie próbował. Oczywiście prawda wyglądała inaczej, bo faktycznie oficer nie próbował powstrzymać furii, gwałtów i morderstw, bo taki był przecież cel wyprawy.

Najwięcej oddziałów tubylczej policji, dowodzonych zawsze przez białego oficera i posiadających w swym składzie co najmniej trzech białych zawodowych rewolwerowców, operowało w północnych częściach NSW i południowych częściach Queenslandu, w rejonie zwanym Darling Downs, gdzie w połowie XIX w. miejscowym Aborygenom udało się do tego stopnia obrzydzić życie osadnikom, że porzucali farmy i uciekali.

Chociaż częstowanie chlebem nafaszerowanym arszenikiem do pewnego momentu rozwiązywało sprawę, Aborygeni szybko się zorientowali w sytuacji, a zwłaszcza po „happeningu” odegranym przez jedną z grup na masówce w Bunya, i nie dawali się więcej oszukać. Ich metody obrzydzania życia białym były niezmiernie dotkliwe, bo było spędzające całe swoje życie na pastwisku łatwo było w nocy zaskoczyć i spowodować jego paniczną ucieczkę na wszystkie możliwe strony. Aborygeni podpalali pastwisko i okoliczny busz, zabijali oszczepami tyle sztuk, ile się dało, zjadali jedną krowę i uciekali. Trzeba tu dodać, że w Australii od pastwiska, gdzie się pasie było do domu jest czasami kilkanaście kilometrów, więc farmer dowiadywał się o szkodzie w kilka lub kilkanaście godzin po fakcie, gdy grupa aborygeńskich wojowników była już bardzo daleko. W dodatku, dla niego sprawą pierwszej wagi było poszukiwanie rozproszonego stada, a dopiero później mógł myśleć o rewanżu. Stąd zrodził się całkowity brak jakiegokolwiek rozróżniania i w olbrzymiej większości przypadków eksterminowana była jakaś

inna, Bogu ducha winna grupa Aborygenów, która w międzyczasie przywędrowała.

Na temat przekroju białego społeczeństwa XIX-wiecznej Australii piszę bardziej dokładnie gdzie indziej, tu trzeba tylko uczciwie wspomnieć, że nie wszyscy byli krwiożerczymi mordercami i trucicielami. Wielu osadników było między młotem a kowadłem – sumienie im nie pozwalało zabijać lub donosić o szkodach wyrządzonych przez Aborygenów, bo wiadomo było jaki będzie skutek, ale z drugiej strony nie mogli się pogodzić z pewnymi wydarzeniami.

Były próby przekonania Aborygenów, że dany farmer jest do nich przyjaźnie nastawiony i jeśli to przekonywanie było robione w odpowiedni sposób, taki farmer miał spokój. Czytałem gdzieś o farmerze, który zabrał kilku plemiennych „starszych” na objazd swoich terenów, pokazał im, gdzie są ich granice i wytłumaczył, że wszystko co się tam znajduje jest jego. Aborygeni oczywiście zrozumieli, bo to korelowało z ich odwiecznymi zasadami, tym bardziej, że farmer nie rościł sobie praw do ich kangurów. W drodze powrotnej dał im dwa byczki, aby nakarmili resztę grupy, po czym wrócił do domu. Jakież było jego zaskoczenie, gdy w parę godzin później usłyszał kanonadę nad brzegiem odległego strumienia, a gdy tam pojechał okazało się, że grupa została zdziesiątkowana przez oddział policji, który ich złapał na gorącym uczynku jedzenia „skradzionego” bydła. Farmer pojechał do miasteczka, gdzie dowódca oddziału wraz z policjantami raczył się piwem po dobrze spełnionym obowiązku i zrobił mu awanturę. Na to policjant pokazał mu uszy byczków ze znakami rozpoznawczymi. Farmer powiedział, że byczki były jego i wyjaśnił, że on sam dał je Aborygenom. Oficer nie uwierzył i zwymyślał farmera, nazywając go „bloody European mongrel” (cholerny europejski kundel), za co farmer walnął go w mordę. Policjant sięgnął po rewolwer, ale farmer był szybszy i zastrzelił go. Na szczęście było wielu świadków zajścia, policjant był „obcy”, a farmer lubiany i szanowany w okolicy, więc sprawa rozeszła się po

kościach.

CIAĞ DALSZY NASTĄPI

Autorstwo: Piotr Listkiewicz

Źródło: [pl.SputnikNews.com](https://pl.sputniknews.com)